

„To jest Ameryka, to słynne USA...”

Przez salony Europy przetacza się fala oburzenia i coraz głośniejszych przestróg przed „zagraniczną ingerencją w proces demokratyczny” krajów członkowskich. „Musimy przygotować się na chronienie naszego procesu demokratycznego, aby to Polacy wybrali nam prezydenta, a nie obcokrajowcy” – grzmi minister spraw zagranicznych Polski. I nie chodzi mu o Putina. Aluzja jest jasna: zagrożeniem dla wolności naszych wyborów jest Ameryka. Tak jak w tej piosence, śpiewanej w radio czasów Bolesława Bieruta ze szczególnie zjadliwą ironią: „To jest Ameryka, to słynne USA...”. To słynne USA, z którego zresztą pochodzi nader zaangażowana politycznie małżonka naszego ministra.

Cieszący się bodaj najsłabszym mandatem poparcia obywateli ze wszystkich prezydentów Francji w XXI wieku (obecnie oscyluje ono między 18 a 20 %), Emmanuel Macron ustawia się w roli obrońcy Europy przed mediami społecznościowymi, które „wspierają nową międzynarodówkę reakcjonistów”. Chodzi mu oczywiście o Elona Muska, miliardera, który wspierał Donalda Trumpa w wyborach i ma znaleźć się w jego administracji. Teraz, korzystając z wolności słowa na posiadanej przez siebie platformie „X” (dawniej Twitter) Musk wzywa do zburzenia muru, ograniczającego demokrację w Europie. Elity UE zbudowały ów mur – oczywiście pod hasłem obrony demokracji – wokół partii napiętnowanych jako „reakcyjne” czy „populistyczne”, wygrywających wybory, ale nie dopuszczanych do udziału we władzy. Tak to widzi Musk. A jak widzą społeczeństwa europejskie? Chodzi o to, by mogły się swobodnie i skutecznie w tej sprawie wypowiedzieć. Ktoś się tego obawia? To znaczy: boi się demokracji.

Obawy się zwiększają, kiedy konkurent Muska, właściciel platformy Meta (dawniej Facebook), Mark Zuckerberg ogłasza: „We are restoring free expression on our platform”. Przywracamy swobodę wypowiedzi na naszej platformie. Co to oznacza w praktyce – jak miliardera wyjaśnił dalej: „zamierzamy pozbyć się fact-checkerów”. Owi „sprawdzacze faktów” nader często są postrzegani jako odgórnie instalowani cenzorzy swobody wypowiedzi, silnie i jednostronnie (antyprawicowo, mówiąc najkrócej) motywowani ideologicznie. Nie wnikam teraz w ocenę tych „faktów”, ani ich „sprawdzania”. Chodzi mi o coś innego. O furię, jaką wywołała zapowiedź amerykańskiego nababa mediów społecznościowych na tych samych salonach europejskich. Na wszelki wypadek Zuckerberg uspokaja: „te zmiany nie będą rozwijane na terenie Unii Europejskiej i nie ma bezpośrednich planów skończenia z fact-checkingiem w UE”. A więc: w Ameryce, tym słynnym USA, będzie niebezpieczna swoboda słowa, a w Europie – „odpowiedzialność [urzędników od odpowiedzialności] za słowo”.

Rozjeżdża się transatlantycka wspólnota. Wspólnota czegoś dla nas bardzo ważnego, nazywanego niegdyś Zachodem, dawniej cywilizacją europejską (poszerzoną w XVII-XVIII wieku na Amerykę), a jeszcze dawniej: Christianitas. Europa, a ściślej ci, którzy uważają się za wyłącznie predysponowanych do definiowania jej tożsamość i kierunku rozwoju (obecnie jest to polityka „Zielonego Ładu” i ochrona nieświadomych obywateli przed widmem populizmu-reakcjonizmu) już się nie krępują: krzyczą głośno, że to straszliwa Ameryka stoi u naszych bram, że trzeba je zatrzasnąć. Nie od wschodu, ale od zachodu.

Teraz, kiedy Trump wraca triumfalnie i z tak głośnym przytupem, odłania się widok dla dominującej dotąd części elit zachodnioeuropejskich wstrząsający. Ameryka, silniejsza wobec Europy niż kiedykolwiek (może z wyjątkiem czasu tuż po II wojnie, kiedy to ta sama Ameryka podnosiła zachodnią część naszego kontynentu z gruzów za pomocą planu Marshalla), nie pyta nikogo o zdanie po wschodniej stronie Atlantyku, tylko narzuca swoje reguły gry. Gry w ideową kontrewolucję? Tego jeszcze nie było.

Następuje więc groźne w skutkach połączenie: poczucia głębokiej degrengolady gospodarczej najważniejszych dotąd państw Unii z historycznymi resentymentami wobec Ameryki, z doznaniem jej

rzeczywistej teraz potęgi, a zarazem imperialnej arogancji, jaka niewątpliwie charakteryzuje styl Trumpa. Dynamikę temu kryzysowi nadaje odkrycie ziejącej nagle przepaści ideowej między kierunkiem tej administracji i trwającym wciąż kursem brukselskim na zderzenie projektów ideologicznych (coraz bardziej sprzecznych z wolą obywateli krajów członkowskich Unii) ze ścianą rzeczywistości.

To wszystko razem grozi geopolitycznym odruchem o najgorszych możliwych konsekwencjach. Berlin i Paryż mogą zwrócić się w geście desperacji w stronę sojuszu z wrogami Zachodu, byle odpowiedzieć na to wyzwanie, które ma twarz Trumpa: twarz amerykańskiej potęgi, która się siebie nie wstydzi. Czy wróży to nowy „reset” tzw. starej Europy z eurazjatyckimi mocarstwami, z konstruowaną przez Pekin i Moskwę nową międzynarodówką antyamerykańską, zwaną BRICS? Niewątpliwie zwiększa się możliwość realizacji fatalnego scenariusza: utrwalenia odruchu wrogości wobec Ameryki, który w nowej wojnie trzydziestoletniej pogrąży już ostatecznie wspólnotę Zachodu.

O tym mówiłem ostatnio na kanale Zero. O tym piszę obszerniej w najnowszym wydaniu magazynu opinii "Wszystko co Najważniejsze"

Autor



prof. Andrzej Nowak

Historyk, publicysta, sowietolog, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, kierownik pracowni Dziejów Rosji i ZSRR w Instytucie Historii PAN.

Źródło: https://www.youtube.com/watch?v=FhiN_gU7rzc